

JERZY S. WASILEWSKI

Institut Etnologii i Antropologii Kulturowej UW
<https://orcid.org/0000-0002-0785-512X>

O podróżowaniu postherbertowskim (wspomnienia i skojarzenia)

On Post-Herbert Travelling (Recollections and Associations)

Abstract

Three collections of essays by Zbigniew Herbert are more than guidebooks dealing with the masterpieces of European culture – they deepen our sensitivity and sharpen our taste. Analyses of Dutch painting in particular, with its “apparent realism”, provide material for reflections (and several supplements) concerning Low Countries culture of the Golden Age and several of its original characters.

Keywords: Zbigniew Herbert; Dutch painting; travel

Abstrakt

Trzy zbiory esejów Zbigniewa Herberta to więcej niż przewodniki po arcydziełach europejskiej kultury – one pogłębiają naszą wrażliwość i wyostrzają smak. W szczególności analizy holenderskiego malarstwa z jego „pozornym realizmem” dostarczają materiału do refleksji (i kilku uzupełnień) na temat niderlandzkiej kultury epoki Złotego Wieku i kilku jej oryginalnych postaci.

Słowa kluczowe: Zbigniew Herbert; malarstwo holenderskie; podróże

O autorze

Jerzy S. Wasilewski – etnolog, prof. dr hab., pracuje w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UW. W latach 1971–1980 był uczestnikiem corocznej ekspedycji IHKM PAN do Mongolii, prowadził też penetrację etnograficzną innych krajów Azji. Autor książek: *Podróż do piekieł, rzecz o szamańskich misteriach* (1979), *Tabu a paradygmaty etnologii* (1989), *Pasterze renifera mongolskiej tajgi* (2008), *Etnolog w podróży* (2023).

JERZY S. WASILEWSKI

O podróżowaniu postherbertowskim

(wspomnienia i skojarzenia)

1.

Skoro było już „panie Baczyński, telefon do pana”, to zaryzykujmy i to – kobiecy głos z lotniskowego głośnika, w którymś z europejskim języków plus oczywiście po angielsku, pośpiesza: „Pasażer Zbigniew Herbert proszony o natychmiastowe udanie się do gejtów trzydzieści siedem”. Czy tak wyglądałoby jego podróżowanie dziś, w dobie masowej turystyki, wśród przywożonych przez tanie linie międzynarodowych tłumów zalewających zabytki? A jak przebiegałyby jego wizyty w wielkich muzeach, przepelnionych tysiącami głów myślących o tym, jak zrobić sobie telefonem zdjęcie na Instagrama na tle słynnego obrazu? Czy bardzo by go drażniło, czy nie uległby pokusie felietonowego narzekania na współczesność, czy utrzymałby wysoki ton wybrednego znawcy, czy pisałby tylko o wartościach ponadczasowych, tak jak w t e d y?

2.

Dla mnie, w t e d y peerelowskiego licealisty – mowa o czasach późnego Gomulki – który i tak za wielkie szczęście mógł sobie poczytywać miesięczny objazd „całych” Włoch z rodzicami, samochodem Škoda, po tanich kempingach, mając na wszystko 120 dolarów przysłane wraz z fikcyjnym zaproszeniem (koniecznym do uzyskania paszportu) przez kogoś z Zachodu i opłacone jego rodzinie w kraju – a więc dla mnie to herbertowskie nieśpieszne (jak sobie wyobrażałem) podziwianie medyteranejskiego świata to była przyjemność niedosiężna. *Barbarzyńca w ogrodzie* to nie był przecież – a raczej był więcej niż – przewodnik po zabytkach; tę książkę otaczała pewna fama, a ja odczytywałem ją jako wizję i nadzieję pogłębionego, rozumiejącego – i w tym sensie równoprawnego, uczestniczącego – spotkania z tym, co najciekawsze w dziejach zachodniej cywilizacji. Młodziacy dzikus, czytając starszego niby-barbarzyńcę, mógł tylko marzyć, że kiedyś będzie miał sposobność tak to sobie z wolna oglądać i odczytywać. No i jeszcze umieć to odczuwać i opisywać – ale tu już byłyby potrzebne dary losu inne niż jednorazowa ustrojowa przemiana nakładająca się na przełomowy wybuch masowości, łatwej dostępności, otwarcia wszystkiego dla wszystkich.

Bo dzisiaj, podróżując – no, niekoniecznie z tekstami Herberta w rękę, ale przecież będąc dawno po ich lekturze – tak często odbiera się zgiełk, pianę i śmieć, którymi on nie zawracał sobie ani czytelnikowi głowy. Pierwszym z takich odczuć, które nie mogło zaistnieć wtedy, jest banalne zdziwienie, jak to się nie do poznania pozmieniało od czasu tamtych, choćby już postudenckich, wojaży. A przy tym są to przecież zmiany jakoby na lepsze – na czystsze, porządniejsze, dostępnejsze. Tyle że wcale nie cieszą, bo odbierają smak odkrywania zakrytego i nierozpoznanego.

Czy to figle pamięci (która sięgając w młodzieńczą przeszłość, nieuchronnie ją heroizuje), czy rzeczywiście tyle zabytków tu wypucowano, poprzestawiano, a może wręcz dobudowano... Mauzoleum Teodoryka w Rawennie – toć ja je pamiętam zapuszczone, obrośnięte chwastami, gdzieś na dzikich peryferiach miasta, coś jakby przemysłowy Targówek tamtego czasu, przy porzuconej bocznicy kolejowej. Pies z kulawą nogą nie zainteresował się tym, że położyłem się – miejsce po Teodoryku było wolne – w otwartej porfirowej wannie sarkofagu (żał, że w nogach poważnie przetrąconej). A dziś – mauzoleum jak nowe, szczelnie obwiedzione barierkami chroniącymi przed spadnięciem, a wokoło wymanikiowany park, nowoczesne budynki kasowe i parkingi dla autokarów.

Czy mam cieszyć się, czy narzekać, gdy trafiam po latach do niewielkiego sycylijskiego Noto, mając w pamięci tamto – niesamowite, jeszcze nieodkryte przez tłumy z owych autokarów, ale też nieodczyszczone do świeżutkiego trawertynu? No dobrze, Herbert baroku nie znoślił – tak przynajmniej deklarował w wierszu – ale może znalazłby ciepłe słowa na opisanie kamienia, którego miodowa barwa w sposób niebywały rozświetla fasady kościołów, jakich nie powstydziloby się Krakowskie Przedmieście?

Takie pytania można stawiać po wielokroć, jeżdżąc palcem po całej śródziemnomorskiej, a więc herbertowskiej Europie. Każdy może tu sobie wpisać jakieś nastrojowe miasteczko lub miasto, ja dorzucę na przykład Porto. Chciałoby się, żeby nasz poeta zdążył jeszcze złapać i oddać w słowach jego niepowtarzalną atmosferę, ze śródmięciem w stanie czarownego upadku, lekko niesamowitej degradacji i zapomnienia, szczególnie wieczorami, o niespotykanym natężeniu owego portugalskiego tęsknego smutku. A może przybyłby o kilka lat za późno, gdy tanie linie lotnicze nazwoziły już tylu turystów, że mieszkańcom wywietrzała z głów owa *saudade* i dziarsko zabrali się za gentryfikowanie swoich kamienic.

3.

O czym zatem pisałby Herbert dziś – albo inaczej: o czym ja chciałbym poczytać, tak by porównać i wzbogacić własne spostrzeżenia, a może gdzieś dodać jakąś głosę?

Pewnie życzyłbym sobie, żeby poeta znalazł się jeszcze raz w Grecji, ale by nie pozostawał na Krecie tylko po to, by referować historię jej minojskich początków, uzu-

pełnionych – jak to robi w kolejnym zbiorze eseistycznej trylogii, zatytułowanym *Labirynt nad morzem* – o ateńskie i rzymskie starożytności. Liczyłbym, że wybierze się w głąb Peloponezu, do bizantyjskiej Mistry, gdzie pochodziłby po zarośniętych ścieżkach, tchnął wyobraźnią trochę życia w te opuszczone, choć niezrujnowane mury. A może uruchomiłby etnograficzną ciekawość i wybrał się w tamte okolice na Wielkanoc, by w którejkolwiek wiosce czy mieścinie uczestniczyć w wielkopiątkowej ciemnej jutrzni, na koniec której wszyscy gaszą swoje świece, a potem, znów je zapaliwszy, witają się przed kościołem tak radośnie, jakby spotkali się po długiej rozłące?

Chciałbym poznać jak najwięcej przykładów jego uważności dla szczegółu i otwarcia na „świat piękny i różny”, jak to deklaruje w *Modlitwie Pana Cogito – podróżnika*. Marzyłbym, by zasypał mnie listą dostrzeżonych kulturowych skamieniałości, z pracowicie odcisniętych na nich znakach przeszłości, o których tak pisze:

Nie będąc uduchowionym ponad miarę, poszukiwałem zawsze materialnych śladów, aby nawiązać porozumienie i przymierze [...] aby przetrząść most ponad przepaścią czasu [...]. Dlatego nieodmiennie wrzasały mnie koleiny na rzymskich drogach, starte przez pielgrzymów stopnie katedry, znak muratora na kamieniu.

Niechby zatem wskazywał mi wszystkie te wytarte kamienie, wypracowane przez liny cumownicze w śródziemnomorskich portach albo przez łańcuchy wiader wyciąganych z bałkańskich studni. A wszystko to poproszę w pejzażu, bo wszak prawdziwy podróżnik potrafi umieścić na jego tle to, co warte oglądania, i tych, których napotkał, tworząc z tego harmonijną triadę: krajobraz, zabytki i ludzie. Herbert o tym wie i sam tłumaczy się, gdy mu to nie w pełni wychodzi. Bo oto w pierwszym zdaniu eseju *Próba opisanie krajobrazu greckiego* deklaruje: „Do Grecji jechałem na spotkanie z krajobrazem”. Podtrzymuje ten zamiar jeszcze na stronie kolejnej: „Będzie to próba opisanie krajobrazu i tego, co zeń wydaje się bezpośrednio wynikać”. Ale już na ostatniej przyznaje się do niepowodzenia:

Zdaję sobie sprawę, że to co napisałem, nie odpowiada tytułowi. Z tematu pejzażu pióro zbyt często ześlizgiwało się w sferę legendy i historii. Nie potrafię nawet dla siebie wytłumaczyć tego związku, jaki istnieje między krajobrazem Grecji a jej sztuką i wierzeniami.

Ale czy nie nazbyt ambitne, wręcz nierealne to zadanie, a już na pewno nienaukowe, bo przecież wierzenia nie wyrastają z geologii, nigdzie – nawet nie w Grecji. No, może ostatecznie w Wielkim Kanionie Colorado, o którym pisał, że jest „jak sto tysięcy katedr zwróconych głową w dół” (to znów Cogito – podróżnik). Ale szczerze powiedziawszy, nie przemawia do mnie takie obrazowanie jego głębin; pamiętam to jako zejście wcale nie w chrześcijańskie średniowiecze, ale ścieżkę przez ostatnie dwa miliardy

lat dziejów Ziemi, czemu, jeśli już, to lepiej odpowiadają nazwy masywnych szczytów, górujących nad kanionem po przeciwnej stronie; owszem, są to świątynie: po lewej Deva Temple, pośrodku ciężka Brahma Temple, a dalej Zoroaster – ale przecież wszystko to mitologia sięgająca głębiej wstecz niż gotyk katedr, a w przypadku Brahmy wręcz do stworzenia świata. A o tym, że są tu jeszcze zupełnie inne odniesienia, sporządzone przez miejscowych Indian Hopi i Zuni, to już litościwie zamilczę.

Herbert jeździł znacznie więcej, niż to zapisał w swojej trylogii, chciałoby się tedy poczytać o jego ulubionych miastach, na przykład o Ferrarze. Tylko z wiersza wiem, że ją kochał – jakoby za to, że podobna do Lwowa; dziwi mnie to, bo ja mam ją zupełnie inną w pamięci: w pierwszym skojarzeniu pojawiają się pocerniałe gotyckie cegły, jak choćby w nieodświeżonym jeszcze wtedy murze Palazzo Schifanoia – nie wiem, dlaczego akurat takie, ale upomnę się o oczywiste prawo każdego do własnych wspomnień i upodobań.

Powracam zatem wraz z autorem do Europy, teraz już północnej, i do kolejnych o niej esejów. Od którego zacząć, bo sporo ich zawiera zbiór trzeci, *Martwa natura z wędzidłem* – może od tych problematycznych, wymagających odnowionego spojrzenia?

4.

Przyznaję, że dopiero z tej książki dowiedziałem się o tulipanowej gorączce w Holandii lat 30. XVII wieku. Tyle że nie wyjaśniła mi ona kilku kwestii, których byłbym ciekaw: na przykład jak w szczegółach odbiła się ona na malarstwie, czy miały coś wspólnego z jej przebiegiem – i krachem – te najróżniejsze tulipany przedstawiane w dziesiątkach odmian na tysiącach martwych natur (tyle ich musiało być, skoro w ciągu dwudziestu lat około połowy XVII wieku wymalowano tu niespełna półtora miliona różnych obrazów – dla dwóch milionów Holendrów, licząc z dziećmi). Druga kwestia: na czym dokładnie polegał mechanizm tych spekulacji, no i gdzie krył się powód ich krachu?

Tulipanów gorzki zapach ukazał się w roku 1993, ale pisany był około 1980, a to czasy jeszcze przed pękaniem najbardziej efektywnych baniek spekulacyjnych, które później odświeżyły naszą potrzebę zrozumienia ich mechanizmów, a zatem i ciekawość dla cebulkowego fenomenu. Dzisiaj autorowi byłoby chyba trudniej napisać rozprawkę na ten temat czy nawet uzupełnioną merytorycznie wersję tej starej. Oto stanąłby wobec dylematu, jaki pojawił się wraz z nowszym piśmiennictwem o manii tulipanowej: czy wierzyć dawnym opiniom o jej powszechnym i monstualnym charakterze, czy raczej zgodzić się z tymi historykami, którzy demystyfikują takie wyobrażenia – a to pozbawiłoby opowieść niezbędnej dramaturgii. I drugi kłopot: jak przekonująco wyjaśnić mechanizm bańki, nie odwołując się tylko do metafor tłumaczących ją z zewnątrz, z pozoru – choroby, zarazy, epidemii i szaleństwa.

Muszę prosić o wyrozumiałość Czytelnika, który miał okazję zapoznać się z prawdziwie kompetentnymi narra-

cyjami – ja, niespecjalista, mogę tylko podzielić się kilkoma myślami z obszaru własnej niepewności. Przypomnę zatem wyjściowe Herbertowskie pytanie:

Jak do tego doszło, że w oświeconej Holandii, a nie gdzie indziej, *tulpenwoede* – mania tulipanowa osiągnęła tak zatrważające rozmiary, wstrząsnęła podstawami solidnej gospodarki narodowej i wciągnęła w gigantyczny hazard przedstawicieli wszystkich warstw społecznych.

Ośmielmy się zakwestionować stan faktyczny, opisany w ostatnich słowach. Jak się rzekło, od kilkunastu lat badacze podważają przekonanie o powszechności owej gorączki. Owszem, była to bańka finansowa kolosalnych rozmiarów, skoro cena jednej cebulki osiągała w jej szczycie wartość bardzo dobrego domostwa albo i statku. Niemniej jednak nie była to zabawa dla małuczkich – rzecz rozgrywała się w węższym niż sądzono kręgu zamożnych kupców-spekulantów (co zresztą autor zdaje się brać pod uwagę, podając liczbę wcale nie milionową). Nie było też żadnego wstrząsu w skali ogólnogospodarczej – źródła tego nie notują.

Oczywiście, pęknięcie bańki spekulacyjnej musiało wywołać przewrót, ale był to raczej wstrząs czy szok, a to w konsekwencji takich oto okoliczności: jako bodaj pierwszy taki przypadek w dziejach mechanizm bańki wykraczał poza horyzont ówczesnego rozumienia, nie mówiąc już o przewidywaniu. No i był też wstrząs moralny.

W tym po protestancku surowym społeczeństwie takie pęknięcie musiało spowodować refleksję etyczną, choćby ze względu na niewiarygodną skalę wzrostu, a potem błyskawicznego spadku. W końcu takie kardynalne zasady, jak powinność dotrzymania słowa, zrealizowania umowy czy wywiązywania się z kontraktu nie mogą upaść z dnia na dzień. A przecież upadły, i nawet sądy nie chciały orzekać w procesach o zaciągnięte zobowiązania. Gdzie zatem sprawiedliwość, gdzie fundamentalne zaufanie, wiara w gwarancje wypłacalności, nie mówiąc już o elementarnym pojęciu wartości, gdy ta nagle obraca się w perzynę? Te bolesne pytania musiały nurtować i kapitalistów, i moralistów, a już zwłaszcza kaznodziei. Skądinąd w nowszych ujęciach tematu akcentuje się, że doniesienia o rozmiarach manii są tak przesadzone dlatego, że były tylko jej wypaczonym obrazem, rodem właśnie z polemik religijnych, moralizatorskich kazań, pamfletów i karykatur.

Czy zatem musimy odesłać w krainę fikcji ową hałaśliwą babę, karczmarkę z jednego z takich obrazów, która wodzi rej w transakcji cebulkowej, jaka odbywa się u niej w szynku? Nawet jeśli tak naprawdę nie było tam gawiedzi, a tylko kilku surowych kupców, to jednak był stół, na który – po zwyczajowym poczęstunku – ci stateczni panowie kolejno wykładają swoje cebulki, uzyskując zawsze cenę wyższą niż ta poprzednio zapłacona. Aż nadszedł wieczór pewnego lutowego dnia roku pańskiego 1637 – jesteśmy akurat w Haarlemie – i niespodziewaną odpowiedzią na

położoną na stół cebulkę jest milczenie... to samo po następnej... i po następnej. Zaskakujące, zdumiewające, niepojęte, ale wiadomość z szybkością konnego posłańca rozchodzi się po innych miastach i wokół wszystkich takich stołów zapada ta sama cisza...

Chcąc być jeszcze wierniejszym demistyfikującej prawdzie, trzeba powiedzieć, że pewnie nie było tam żadnych cebulek. Te bowiem były albo w ziemi, kwitnąc, albo w piwnicach na przechowaniu (w czasie którego mogło dojść do przeobrażenia się – na tle wirusowym, jak dziś wiemy – w inną odmianę, bardziej efektywną i kosztowną), albo dopiero czekały na wejście do gry (bo tulipanom zajmuje to do dziewięciu lat). Co zatem było? Kontrakty terminowe, a mówiąc dzisiejszym językiem: *futures*, które mogły być łatwo i w nieskończoność odsprzedawane bez wykładania gotówki (co wyjaśnia, dlaczego finalny kryzys miał ograniczone konsekwencje – mniej ucierpiały realne finanse, tylko zyski na papierze rozwiały się w dym). Wszystkie te wymiary czasowe stwarzały dodatkowe okoliczności, pogłębiające spekulacyjny charakter fenomenu.

Chciałoby się natomiast wiedzieć, co właściwie kryło się za owym epizodycznym „milczeniem”: jak doszło do nagłego przebudzenia, narodzin wątpliwości, ocknięcia się ze złudzeń. Tu widziałbym pole dla herbertowskiej refleksji, także moralnej, i dla wyobraźni. Bo przecież stan rzeczy na etapie samej gorączki rozumie każdy z nas, kto w jakiejś postaci natknął się (albo i naciął) na wizję rosnącej w nieskończoność piramidy zysku. Odsuwając zatem na bok metafory „zarazy” i „szaleństwa”, można manię tulipanową potraktować jako przeniesienie na nowy grunt tej wczesnokapitalistycznej gry, jaką była niebywała zamorska ekspansja Holandii; ta bowiem oznaczała spodziewanie się ogromnego zysku po powrocie statków z dalekich wód, ale też niepewność, ryzyko, hazard. A do tego tulipanowe cebulki dawały – złudną, ale to dopiero ostatecznie – sposobność reinwestowania tych ogromnych sum, jakie – realnie przecież – uzyskiwano dzięki tej przedsiębiorczości.

5.

Gorączka była więc pochodną czy produktem ubocznym niebywałego sukcesu holenderskiej morskiej ekspansji kolonialnej. Z perspektywy stuleci można widzieć w niej bolesny w skutkach eksperyment liderów finansowego kapitalizmu, polegający na sprawdzeniu, jak długo da się prowadzić operacje oparte na samym tylko przekonaniu, że wartość nabytego prawa zakupu będzie zawsze rosła.

Cała ta ekspansja i przedsiębiorczość przyniosły mnóstwo dóbr materialnych – i Herbert to dostrzegał, pisząc, że ten kraj to „wielkie księstwo rzeczy i królestwo przedmiotów”, choć widział je raczej na obrazach niż na przykład na licznych targach staroci, giełdach czy w antykwariatach. Chyba po nich nie chadzał – odnotował obecność tych ostatnich, ale nie zaglądał do środka, w każdym razie nie przekazał tego na piśmie.

Dla mnie holenderskie antykwiaryaty to była kraina cudowności. Była, bo dotknęła je ta sama zaraza, która zdziętkowała, a niebawem dobije londyńskie Portobello i Camden, brukselski Sablon/Zavel czy kilka okolic w Paryżu. Miejsca popularne, przyciągające tłumy – przecież wystawy antyków albo rynki zabawnych staroci są nawet lepsze niż muzea, bo bezpłatne, do tego stanowią świetną lokalizację dla uczęszczanych barów i kawiarenek (albo, jak w przypadku budynku Louvre des Antiquaires, ekskluzywnych salonów, głównie z biżuterią). Czy winić za to rosnące ceny najmu i przeniesienie się handlu antykwarecznego do internetu, czy raczej malejące zainteresowanie dzisiejszej publiczności dla ton ciężkich mebli i kilometrów nudnych obrazów – dość że europejskie, w tym holenderskie miasta nie oferują już tylu miejsc do przeżycia przygody z antykami.

Tu nie mogę oprzeć się przed dygresją, bo w jednym z amsterdamskich antykwiariatów orientalnych ponad ćwierć wieku temu dostałem nauczkę, że nawet w przypadku autentycznych skarbów chwała świata potrafi szybko przeminąć – a przynajmniej mocno stracić na finansowej wartości. Oto prowadząca go starsza pani, widząc moje zainteresowanie chińskimi ceramicznymi figurami z czasów T'angów, zachęca do kupna. Kiedy odpowiadam, że chętnie tak zrobię, jak tylko zostanę dolarowym multimilionerem, przekonuje, żebym kupował już teraz: ta oto figura kosztowałaby mnie 30 tysięcy dolarów, a ona pamięta, że kiedy zaczynała tu pracę, jeszcze u swego ojca, w latach 50., kosztowała tyle samo – z tą różnicą, że wtedy można było za te pieniądze kupić Rolls-Royce'a, a teraz... Dopowiadam sobie, jak wyglądał mechanizm tej dewaluacji: wtedy Chiny były zamknięte, wykopalisk mało, a wywóz antyków niemożliwy, za to dziś – szkoda mówić. Doszła jeszcze do tego popularność odkrytej w Hsianie terakotowej armii, powielanej w świecie w tysiącach egzemplarzy, łącznie z cementowymi figurami w roli ogrodowych krasnali. Wszystko to (nie mówiąc już o wszechobecności przyzwoitych chińskich podróbek, niełatwych do odróżnienia) musiało zobrzydzić do cna owe starożytności.

No ale na przykład porcelana – nie tylko miejscowa, z Delft (właściwie był to fajans), ale też chińska i japońska. Holendrzy mają do niej serce, bo przed trzema czy czterema wiekami przypluwała do Europy głównie na ich statkach – sama tylko Holenderska Kompania Wschodnioindyjska sprowadziła w ciągu XVII stulecia, i to niepełnego, 35 milionów sztuk (jej brytyjski odpowiednik – niewiele mniej). A ile jeszcze zatoneło po drodze? Kiedy w 1998 roku u wybrzeży Wietnamu odnaleziono statek (pośredniczącą w tym handlu chińską dżonkę) z taką zawartością, tak zwane *Ca Mau cargo*, to 130 tysięcy sztuk zgoła przeciętnej porcelany rozsprzedano po cenach trzykrotnie wyższych niż dla analogicznych obiektów niemających takiego podmorskiego rodowodu. Dom aukcyjny Sotheby's wiedział, jak zabrać się do rzeczy.

Skądinąd wiele takiej zamawianej porcelany, *chine de commande*, przeznaczonej dla Niderlandów, ma typo-

we holenderskie motywy, na przykład tak zwany pejzaż Scheveningen. Mnie szczególną radość sprawiają sztuki *melk en bloed*, czyli malowane cienką, krwistą czerwoną kreską (tlenkiem żelaza) na mlecznobiałym tle. Na ogół są tam wyobrażone scenki z chińskich opowieści; zdarza się jednak kopiowanie zleconego europejskiego obrazka, przy czym najwyraźniej malarz nie do końca rozumiał obce mu detale. Bo to miasto nad wodą, ze zwodzonym mostem donikąd, o nie całkiem logicznej konstrukcji, gdzie nad wejściem widnieje dziwny kartusz wyglądający jak ukwiecona waza, trzymana w łapkach przez niezidentyfikowane w heraldyce zwierzątka – to przecież miał być (nie dajmy się zwieść ani wysokim górą, ani nawet dżonkopodobnej łodzi)... Amsterdam! (Tak przynajmniej orzekł holenderski ekspert – nie wykluczam, że chcąc zachęcić mnie do kupna, ale miałem już taką sztukę, motywy te były bowiem oczywiście powielane).

A wytworne, wysokie zegary z amsterdamskich warsztatów, tylko do najzamożniejszych wewnątrz, tych gdzie kandelabry jaśnieją z wysokich okien nad Prinsengracht... Prawie trzy metry lśniącego mahoniowego lub orzechowego drewna, u dołu lwie łapy na kulach, a na szczycie złożone figurki Atlasa i pomyślnych wiatrów. Ozdobnie rytowana stalowa tarcza to majstersztyk: najradsze egzemplarze, które mają w dolnej części okienko, a w nim na tle wymalowanego portu dwa wycięte z blachy żaglowce, kołyszące się wykwinicie na falach w rytmie wahadła – przyprowadzają mnie o szaleństwo. I jakby nie dość było tej romantyki, to jeszcze w narożach wokoło cztery wymalowane postacie kobiece – wyobrażenia kontynentów należycie egzotyczne, z obfitą florą i rekwizytami. Nieskażony wymogami poprawności, cudowny smak orientalizmu.

6.

No i przedmioty emblematyczne, o ukrytym znaczeniu, na przykład te, o których poeta pisał w tytułowym eseju zbioru *Martwa natura z wędzidłem*. Zatrzymajmy się przy tytule tego obrazu – w jego herbertowskiej wersji, skróconej o pozostałe widniejące na nim obiekty. W pełnej nazwie są bowiem jeszcze skrupulatnie wymienione dwa dzbany – cynowy na wodę i gliniany (kamionkowy?) na wino – oraz szklany puchar, tak że pominięte pozostają tylko dwie fajki i arkusz papieru z krótkim tekstem i zapisem nutowym.

Nie trzeba być specjalistą od ikonologii, by odczytać w tym dziele niejakiego Johanna Torrentiusa więcej niż wizerunek domowych statków – badacze ze szkoły interpretacji emblematycznej pół wieku temu przypomnieli światu, że realizm holenderskich obrazów Złotego Wieku jest „realizmem pozornym” (bo *schijnrealism* to wcale nie „widzialny”, jak to tłumaczył Herbert). W języku obrazkowym, alegorycznie, wyrażona zostaje abstrakcja – tu cnota umiarkowania, powściągliwości. Woda z jednego dzbana służy do rozwadniania wina z drugiego, a tekst na karcie przestrzega wprost przed przebieraniem miary: „To co istnieje poza miarą (ładem), w nadmiarze (bez-

ładzie) zły swój koniec znajdzie”. Herbert zwraca uwagę na to zdanie, łącznie z błędem ortograficznym, który w jego (i wcześniejszych badaczy) mniemaniu podważa jakoby jego jednoznacznie poważną wymowę. Z drugiej strony autor przydaje mu znaczenie, sugerując (nadal za dociekliwymi interpretatorami) związek z różokrzyżowcami, a to w inicjale ER+, *Equus Rosa Crucis*. (Niech to nie zabrni ironicznym, ale dziś litery te uznaje się raczej za inicjały Erazma z Rotterdamu, który był autorem tej sentencji, zaś krzyżyki – po obu jej stronach – są tylko znakami cudzołowu).

Redukując tytuł obrazu do jednego tylko przedmiotu, Herbert wydobywa i akcentuje jego opresyjny, najbardziej ograniczający element. Pięknie też o nim pisze:

U góry zaś ów przedmiot, którego zrazu nie mogłem odczytać i wydawał mi się zawieszoną na ścianie częścią starej zbroi, przy dokładniejszej obserwacji okazał się wędzidłem łańcuchowym, używanym do poskramia-
nia wyjątkowo narowistych koni. Ta metalowa uprząż, odarta z stajennej pospolitości, wylania się z ciemnego tła – hieratyczna, groźna, posępna jak zjawa Wielkiego Komandora.

Nie tylko pięknie, ale i słusznie: to rzeczywiście jest wędzidło, a nie na przykład munsztuk ani też oczywiście nie cugle, ani uzda – choć właśnie to ostatnie słowo, niderlandzkie *breidel*, figuruje w oryginalnym tytule.

Ale sam przedmiot wcale nie jest tak jednoznaczny, a już po „stajennej pospolitości” nie ma w nim dla mnie nawet wspomnienia. Nie chciałbym, żeby mój komentarz zabrzmiał jak wysilone mądrzenie się, acz muszę przyznać, że moje doświadczenie z końskimi kielznami bierze się głównie z Mongolii, gdzie akurat koniki nie mają w pysku tyle żelaza. Nie wiem też, czy w ogóle, a jeśli tak, to z jakim to ekspertem od historycznego kielzania konsultował autor opinię, że jest to „wędzidło łańcuchowe do poskramia-
nia wyjątkowo narowistych koni”. Owszem, jest to wędzidło z łańcuszkami, ale nie ściśle łańcuchowe, bo tu one nie wchodzi do końskiego pyska, a tylko obejmują go z zewnątrz. Ale wątpliwość ważniejszą wzbudzają inne jego części: oto na jego czankach, czyli uchwytach bocznych (dziwnie zresztą fantastycznych, jakby archaicznych) osadzone są ścięgierze – te dwa zastanawiająco grube stożki. To one stanowią o istocie wędzidła, wkładane są bowiem między końskie zęby, ponad językiem; pytanie brzmi zatem, do jakiegoż to pyska mogłyby się one zmieścić? Klasyczna teoria mówi, że wędzidło jest tym „ostrzejsze”, im jego ścięgierze są cieńsze (dziś są to wąskie beleczki), te zaś mają grubość tak znaczną, że wręcz nie mogą sobie wyobrazić, do jak wielkiej paszczki miałyby pasować.

Chociaż zatem skojarzenie z posągami Komandora i jego zbroją ma w sobie obrazową celność, to zaciera kłopotliwą niepewność, jaką na początku musiałby rozstrzygnąć historycznie kompetentny ekspert. Jeśli bowiem ów przedmiot to jakimś sposobem wcale nie jest prawdziwe,

skuteczne wędzidło (a tylko jego parodia, mało czytelną – jakoweś „wędzidło dla wołu”), to może była w tym kolejna zmyłka malarza Torrentiusa? Piszę „kolejna”, bo o jednej wiemy: dwa błędy, nie tylko w tekście pouczenia na karcie, ale i w nutach piosnki, podważyły już w oczach Herberta (i nie tylko) kategorycznie moralizującą wykładnię obrazu. Wraz z kontekstem hulaszczego życia malarza (który wyprodukował bodajże więcej obrazów nieprzyzwoitych niż przyzwoitych, zresztą wszystkie zostały spalone, a on sam zmarł nie bez udziału tortur) powstrzymały one poetę przed jednoznacznym odczytywaniem jego emblematyczności.

A więc znowu, jak często przy deszyfrowaniu symboliki, jesteśmy w świecie, gdzie wszystko jest możliwe, ale nic nie jest pewne; znaczenie – tak jak Ruskinowskie piękno – znów leży w oczach oglądającego, ze wszystkimi jego wątpliwościami co do własnych kompetencji. A jeszcze te dwie fajki, odwrócone, a więc bez tytoniu – czy one też mają oznaczać wstrzemięźliwość (od palenia), czy tylko przyciskają papier z obu brzegów? A może i jedno, i drugie? Niech się nad tym głowi kolejny holenderski *kunsthistoricus*.

Pozostają oczywistości, których nie ma potrzeby dopowiadać, ale przecież cisną się na usta: są to słowa takie jak wyuzdanie, nieokiełznanie czy rozpasanie, a wraz z nimi myśli o moralnej paradoksalności, jaką mają wyobrażenia wszelkich więzów nakładanych na ciało (zwierzęcia, ale też z przeniesieniem na człowieka) oraz ich zrzucania. Dualizm natury i kultury, dzikości i cywilizacji, naturalnych popędów i rozumnej, przemyślanej świadomości, to przecież gra narzuconych ograniczeń i uwewnętrznionego umiarkowania.

Skądinąd dziesiątki takowych wędzideł, eksponowane w stajniach dawnych pałaców, kiedy spojrzeć na nie z tak ucłowieczonego punktu widzenia, mogą przyprawić prawie o ból fizyczny, nawet jeśli w muzealnej kolekcji są nader estetycznie ułożone.

Nie ma w tekście Herberta ani banalnych aluzji, na przykład do politycznej cenzury, ani innych oczywistych nawiązań do przymuszającej i zarazem ograniczającej roli wszelkiego kielzna, despotycznej i krępującej funkcji każdego kantara. Ale pamiętamy, że ówczesna Holandia to kraina kalwińskich kaznodziejów, których słowa miały potężną moc ekskomunikowania. Autor nie jest głuchy na takie przekazy – w kilku esejach relacjonuje iście inkwizytorskie zapędy władzy duchowej w odniesieniu do paru ówczesnych postaci, także zresztą malarza Torrentiusa. Powróć do tego wątku później.

7.

Co jeszcze dodała lektura tego zbiorku do mojego odbioru Holandii? Wprawdzie moje uformowanie było tu wcześniejsze, ale pewnie wpłynęła na wyostrenie smaku czy dosmaczenie wrażliwości. Z większą łapczywością patrzyłem na mapy zgromadzone w specjalizującym się w nich antykwariacie przy Spiegelgrachcie, tym najbliższej

Rijksmuseum. Pociągała mnie szczególnie ta oto mapa Arktyki (już za chwilę o tym, jaki ma ona związek z Herbertem), dzieło wydane *sumptibus Hendrici Hondis*, a więc pewnie tuż przed połową XVII wieku, bo to już był Hondt młodszy, działający w Amsterdamie. Pośrodku biała plama: jeszcze daleko do bieguna, a już pustka i tylko siatka zbiegających się południków – geometria zastępuje geografię. *Spitsberge* niekompletny (nie tylko dlatego, że nie ma litery *n*), *Nowa Zemla* też ma wyłącznie zachodni brzeg (między nimi *Mourmanskoj More*, *Barents* już tu wprowadził, a nawet tu zmarł, ale imienia swego jeszcze nie zostawił), a dalej już tylko nazwy: *Mare Tartaricum* i *Tartaria Maritima* – morska, bo jedynie w swej północnej części odnotowana (nie dalej niż *Ieniseia reka*, gdzie *Tinghoesi*, czyli Tunguzi: żyją); nic dziwnego, że całkiem pusta, skoro *Incognita*, podobnie jak z tym samym przymiotnikiem *America Septentrionalis* – nic tam jeszcze nie ma: ani Alaski, ani Gór Skalistych. Za to na Grenlandii nazewnictwo wprost kwitnie.

Na wcinkach wokół okręgu mapy, na rycinach pełen spokój – zneruchomiał krajobraz, przy brzegu statki ze zrzucenymi żaglami, a na lądzie toczą się nieśpieszne prace: jedni holują w kilka łodzi trafionego harpunem wieloryba, inni topią już z niego tran i szykują beczi, inni łowią ryby i celują z muszkietów do szczerzących kły morsów. Z każdej scenki bije arktyczna cisza.

Z pewną, ale tylko niewielką przesadą można powiedzieć, że zanim zaczęła się podróż, istniała przedtem mapa [... To] mapy podsunęły Holendrom zuchwały plan żeglugi do Chin pasażem północnym – ciemnym, wąskim, lodowatym korytarzem, a nie powszechnie uczęszczaną drogą tropikalną, pełną zabójczych korsarzy i równie zabójczych konkurentów.

Tak zaczyna się *Dom*, krótka opowiadka z szeregu *Apokryfów* wieńczących zbiorek *Martwa natura*. Nie upieram się, że moja mapa to dokładna jej ilustracja: Herbert opowiada przecież o wydarzeniu, które poprzedziło powyższe scenki z udziałem wielorybników o prawie pół wieku: pisze o wyprawie pod wodzą Jacoba van Heemskercka i Willema Barentsa w poszukiwaniu północnej drogi do Chin. Na rycinach mamy letnie namioty, a tam był prawdziwy dom, trochę jakby sklecony z wyrzuconego na brzeg drewna i z okrętowych nadbudówek, ale umożliwiający przynajmniej niektórym przeżycie okrutnej zimy. Opiswana wyprawa nie przetrwała wprowadzić poszukiwanej drogi na Daleki Wschód, ale i tak przyczyniła się do sukcesów holenderskiej ekspansji. Można tylko podziwiać zmysł tej nacji do wszystkiego, co zyskowne: już wkrótce wielorybnictwo poważnie dołoży się do niebywałej prosperity tego kraju. Będzie za co obstawiać tulipanowe cebulki i kupować od malarzy kolejne martwe natury.

Może dlatego o Nowej Zemli pamięta się w Holandii do dziś, tak jak i o współbohaterze tamtej wyprawy, Barentsie, który przypłacił ją śmiercią; ostatnio nakręcono

o niej film (i to trójwymiarowy), mający w tytule nazwę archipelagu w częstym wtedy zapisie, oddającym ówczesne fonetyczne nieporozumienie na językowej linii między Niderlandczykami a Moskwiczinami: *Nova Zembla*. A z tą nazwą wiąże się dygresja, którą jednak lepiej będzie przenieść do przypisu¹.

Albo inny archipelag, Molukki – na przeciwnym, tropikalnym skraju świata, niesłychanie zyskowny: Wyspy Korzenne, Ceram, Ambon i Banda. Idylla bujnej roślinności, łódź pod flagą Zjednoczonych Prowincji spokojnie przemierza ciche wody zatoki – jakby tu dopiero co nie było owej niewyobrażalnej masakry ludności, zarządzanej przez holenderskiego gubernatora Jana Pieterszoono Coena w ramach wojny o lukratywne goździki i gałkę muszkatołową. W kolejnym apokryfie, zatytułowanym *Portret w czarnych ramach*, maluje Herbert ponury jego wizerunek, na szkicowym tle niderlandzkiego kolonializmu. I nie ma złudzeń, w tym kraju długo jeszcze będzie on miał swoich bezlitosnych następców – sam widywał ich już jako starszych panów przy kawiarnianych stolikach, „ostatnich z gatunku”.

8.

Te *Apokryfy* mają w sobie moc. Jest w nich mowa i o kilku ofiarach kalwińskiego despotyzmu, który siedział tam wtedy, w epoce Złotego Wieku, w dziwnej parze z rozsądkiem i liberalizmem. W fotel wciskają mnie ich ostatnie zdania, które z małego, wiernego w swym realizmie obrazka czynią, niczym jakiś szczegół w owych emblematycznych martwych naturach, wyraz spraw ostatecznych: „jasny obraz cywilizacji, której fundamentami są – jądło, pieniądź i drewniany słup z poprzeczną belką u szczytu” (to po epizodzie niedosłego ludożerstwa wśród rozbitków na morzu) albo – po śmierci kupca bławatnego – „zasłonią wszystkie lustra w domu i odwrócą wszystkie obrazy do ścian, aby wizerunek [...] nie zatrzymywał w drodze tego, który wędruje ku światom niewyobrażalnym”.

Niech mi będzie wolno zaproponować jeszcze jednego kandydata do takiego portretu. Ja wiem, rozpasanie i lubieżność to nie były jego, poety, żywioły; zajmowały go wloty i upadki tylko ducha, nigdy ciała, ale może dziś otworzyły się na dolę człowieka, którego problemy z wędzidłem były zadziwiająco podobne do niedoli malarza *Torrentiusa*. Choćby kierując się współczuciem, bo przecież to ono miało być dla Herberta szczególnym motorem podróżowania, czy raczej myślenia i pisania o nim. „Nie ma innej drogi do świata, jak tylko droga współczucia” – napisał, puentując swoje wzruszenie w obliczu katastrofalnego losu minojskiej Krety. Może zatem do *Apokryfów* dodałby postać niejakiego *Hadriaana B.*, rodem z Zeelandu?

Młody *Adrian* wcześniej zszedł z dróżki cnoty. Jego preceptor orzekł, że marną ma przed sobą przyszłość ten, kto dobrze się uczy, a źle prowadzi. Ale on robił to drugie w sposób szczególny, bo w najściślejszym powiązaniu z pierwszym: jego wyuzdanie znajdowało swój wyraz na stronach uczonego łacińskiego manuskryptu, a i tam tra-

fialo nie z doświadczeń własnych z dziewczkami służebnymi, ale wprost z dzieł autorów prawdziwie starożytnych. Tak, ciągnęło go ku rzeczom i sprawom rozpustnym, tak, zbierał ryciny postaci obnażonych i także figurki, tak, wyszukiwał i wypisywał tysięczne *obscena* z poetów łacińskich, tak, rozpytywał o wszystkie plugawe występki cielesne, od *masturpatio* poczynając, a uchowaj nas Bóg przed szcęgółowym wymienianiem, na jakich to okropieństwach kończąc. Prosił też dociekliwy badacz swoich korespondentów o pomoc w katalogowaniu osób, które by się takowymi praktykami zajmowały. Ale wszystko to nie po to przecież, by się sprośnością przed plebsem popisywać, o nie! On swój własny grzech chciał najpewniej rozgrzeszyć, zanurzając go i otaczając grzesznością starożytnych, ba, starotestamentowych nawet, by umieścić go jako uniwersalną i fundamentalną część człowieczeństwa. W poszukiwaniach źródeł lubieżności sięgał wstecz aż do samej kolebki ludzkości.

Którejś nocy, po lekturze Agryppy będąc, miał sen szczególnie: oto rajski ogród, a w nim Adam trzymający w rękę nie jabłko wcale, nie figę czy inny jakiś owoc, ale okazały, podługowaty banan – właśnie był go dostał od Ewy. Obudziwszy się, obrazu sennego na słowa przełożyć jeszcze nie umiejąc, poczuł męską przypadłość, naturalną o poranku, a wraz z tym przyszło jasne jak grom skojarzenie. Tak, płciowa pożądlliwość, *libido*, to przecież jest właśnie ów grzech pierworodny, *peccatum originale*, który towarzyszy odtąd ludzkości wbrew pierwotnej Bożej woli, śmierć za sobą pociągając.

Dysertacja pod tym tytułem będzie ekscytować nie małe grono holenderskich humanistów, którym powierza swój manuskrypt, prosząc o korekty i uzupełnienia. Kiedy jednak rzecz ukaże się drukiem, a starsi Kościoła reformowanego i sam lejdejski uniwersytet zażądają jej spalenia, nie będzie już takich odważnych, którzy wzięliby je w obronę. Teologicznie rzecz biorąc, nie byłoby ono może w ich oczach aż tak naganne, ale takie nagromadzenie cielesności – toż to samo w sobie stanowiło najprawdziwsze zerwanie wszelkich wędzideł przyzwoitości.

Pozostanie mu tylko ucieczka do niedalekiej Anglii pod opiekę możnych i zamożnych – za wcześniej jeszcze na to słowo, i nie całkiem to miejsce, boć Tamiza to nie Sekwana, ale tak ich krótko nazwijmy: libertynów. Będzie jednak tęsknić – i za uniwersytecką uczonością, i za biesiadnym towarzystwem – dlatego podejmie próby nalożenia owczej skóry. Ogłosi ubolewanie nad swą przewiną, przypomni wezwanie do życia w nocie, którego pierwsi rodzice z tak bolesnym skutkiem nie posłuchali, obieca spalenie swej plugawej kolekcji (encyklopedyczne dzieło *O burdelach starożytnych* miał już napisane). A potem postępująca bieda, a i choroba, pewnie umysłu, i starania o uzyskanie zgody na powrót do kraju, gdzie przecież o surowości hiszpańskich obyczajów dawno już zapomniano, gdzie nie tylko na obrazach podpici chłopci tańczą ochotczo, a wojacy sadzają sobie na kolanach dziewczki karczemne. Ale nie, pamiętne napomnienia kaznodziejów i lęk

władzy przed publicznym zgorszeniem zamykają drogę powrotu.

Jeszcze każe się sportretować z ulubioną lafiryndą, czasem posiedzi nad kolejnym, obmyślanym bez końca tekstem swego napisu nagrobnego – przyszło mu bowiem do głowy, by i z mogiły nawygrażać potomnym. Skończył na krótkim i nie dość wyszukany: „Jestem tu, w miejscu, gdzie nie chcielibyście się znaleźć”. Nie był dumny z efektu, ale machnął ręką, wiedząc, że i tak mu tych słów tam nie umieszczą – przy całym jego życiorysie brzmiałyby jak głos z samego piekła.

Na łożu śmierci jedna myśl nie dawała mu spokoju: jak ma zbilansować własne życie. Obracał tę rozterkę, szukał dla niej słów, a znalazł je, wybiegłszy myślą w przyszłość na lat trzysta, wyobraziwszy sobie, że ktoś o nim i o nich wszystkich tak napisze:

Wolność, o której napisano tyle traktatów, że stała się pojęciem bladym i abstrakcyjnym, była dla Holendrów czymś tak prostym jak oddychanie, patrzanie, dotykanie przedmiotów. Nie trzeba jej było definiować ani upiększać. Dlatego nie ma w ich sztuce podziału na to co wielkie i małe, ważne i nieistotne, podniosłe i pospolite.

No tak – pomyślał, zdobywając się na resztkę przedśmiertnego szyderstwa – i o wędzidle niby napiszą, ale moimi ustami smaku żelaza nie poczują.

I odwrócił się na bok, tyłem do nikogo.

Przypisy

- ¹ Pamięć o okropieństwach *Zembla* trwa także wśród niegdyśszych konkurentów holenderskich eksploratorów – Anglików. Łaskawy Czytelnik zna pewnie, choćby z niniejszego cyklu, angielski termin *serendipity*; kiedyś rzadki, dziś już rozpowszechniony, oznacza łut szczęścia, ale taki, w którym znalezisko jest bardziej wartościowe niż to, czego poszukiwano – jak owo dziewczę, znalezione w stogu siana, w którym szukało się tylko igły. W antytezie do Cejlonu, który dał tu swe arabskie i sanskryckie miano *Serendip*, będąc skąpaną w słońcu, obmywaną łagodnymi falami krajiną szczęśliwości, bujnej zieleni i gorących przypraw, *Zembla* to ziemia skuta lodem i smagana wichrami, oferująca tylko to, co wrogie albo jałowe. Stąd słowo *zemblanity* ma oznaczać przypadłość do odkryć pechowych, fatalnych, brzemniennych w skutki nieszczęśliwe; termin trafił już do słownika oksfordzkiego.